

18 milionów sprzedanych egzemplarzy na całym świecie

# PETER JAMES

POPROSISZ MNIE  
O ŚMIERĆ

BĘDZIESZ MOJA ALBO NICZYJA



# 1

## Środa, 23 października

Karl Murphy był porządnym i serdecznym człowiekiem, lekarzem rodzinnym samotnie wychowującym dwójkę małych dzieci. Pracował do późna i zawsze dbał o swoich coraz liczniejszych pacjentów. Ostatnie dwa lata, odkąd zmarła jego ukochana żona Ingrid, były dla niego ciężkie, a niektóre obowiązki związane z pracą sprawiały mu szczególne trudności, zwłaszcza konieczność przekazywania złych wieści nieuleczalnie chorym pacjentom. Nigdy jednak nie przyszłoby mu do głowy, że ma wrogów, a tym bardziej, że ktoś nienawidzi go na tyle, by życzyć mu śmierci.

I zamierza go zabić jeszcze dzisiaj wieczorem.

Jasne, nie da się zadowolić wszystkich; Karl w swojej pracy miał okazję się o tym przekonać. Większość jego pacjentów była miła, ale kilkoro załazło za skórę jemu i jego współpracownikom. Mimo wszystko starał się wszystkich traktować równo.

Kiedy tego październikowego wieczoru stał razem ze swoimi turniejowymi partnerami przy klubowym barze – wykąpany i już bez stroju do golfa – i grzecznie pił drugą szklankę lemoniady z limonką, dyskretnie zerkając na zegarek i nie mogąc się doczekać wyjścia, po raz pierwszy od dawna uświadomił sobie, że jest szczęśliwy i podekscytowany. W jego życiu pojawiła się nowa kobieta. Spotykali się od niedawna, ale już ogromnie ją polubił. Do tego stopnia, że dzisiaj na polu golfowym przyszło mu do głowy,

że się w niej zakochuje. Ale był bardzo skryty, więc nie wspomniał o tym swoim towarzyszom.

Wkrótce po osiemnastej, zaniepokojony późną porą, dopił napój, nie zdając sobie sprawy, że w ciemnej zawierusze na zewnątrz ktoś na niego czeka.

Stefanie, siostra Karla, odebrała dzieci ze szkoły i obiecała zaczekać z nimi w jego domu, dopóki nie przyjedzie razem z opiekunką. Musiała jednak najpóźniej za kwadrans siódma wyjść, żeby zdążyć na biznesową kolację z mężem, i nie mógł dopuścić, żeby się spóźniła. Dlatego podziękował organizatorowi za turniej charytatywny, przyjął gratulacje od kolegów z drużyny, doceniających jego udaną grę, po czym ochoczo wymknął się z popijawy, która miała trwać do późnych godzin nocnych. Czekало go coś ważniejszego od chłania z grupą golfistów, nawet najsympatyczniejszych. Wybierał się na randkę. Był umówiony z niezwykle seksowną kobietą, a perspektywa spotkania z nią po trzech dniach niewidzenia jej wprawiała go w stan euforii, jakiego nie doświadczył, odkąd był nastolatkiem.

Pośpiesznie przeciął chłostany wiatrem i deszczem park i dotarł do miejsca, w którym zaparkował samochód, po czym otworzył bagażnik i wrzucił do środka torbę ze sprzętem golfowym. Całkowicie pochłonięty myślami o czekającym go wieczorze, schował niewielki srebrny puchar do bocznej kieszeni torby. Mój Boże, wniosła do jego życia tyle słońca! Dwa lata, które minęły od śmierci Ingrid, były piekłem; teraz nareszcie miał szansę się z niego wydostać, choć w tym długim okresie ciemności nie sądził, że będzie to kiedykolwiek możliwe.

Nie zauważył ubranej na czarno nieruchomej postaci, która leżała pod tartanowym dywanikiem dla psa na tylnym siedzeniu, i nie przejął się tym, że światło w środku nie zapaliło się, gdy otworzył drzwi po stronie kierowcy. Miał wrażenie, że każdego dnia kolejna część jego starzejącego się audi odmawia posłuszeństwa albo – jak wskaźnik poziomu paliwa – działa tylko od czasu do czasu. Zamówił nowe A6 i miał je odebrać za kilka tygodni.

Usadowił się za kierownicą, zapiął pas, uruchomił silnik i włączył światła. Następnie przełączył radio ze stacji Classic FM na Radio 4, by wysłuchać końcówki wiadomości, wyjechał z parkingu i ruszył wąską drogą biegnącą wzdłuż osiemnastego fairwayu klubu golfowego Haywards Heath. Z naprzeciwka ktoś nadjeżdżał, więc Karl zjechał na bok, aby go przepuścić. Kiedy zamierzał ponownie przyspieszyć, usłyszał za sobą nagły ruch i ktoś zakrył mu usta i nos czymś wilgotnym i cuchnącym.

Rozpoznał woń chloroformu, którą pamiętał ze studiów. Przez krótką chwilę próbował się opierać, zanim jego mózg ogarnęło ośpienie, stopy spadły z pedałów, a dłonie wypuściły kierownicę.

## 2

### Środa wieczór, 23 października

Przyłożył lornetkę do oczu, w ciemności skupiając wzrok na kobiecie, którą tak bardzo kochał. Na stoliku obok leżał noktowizor od kuszy, którego używał, gdy gasiła światła.

Piła białe wino – już czwarty kieliszek – i ponownie wybierała jakiś numer na telefonie, wyraźnie niespokojna i rozdrażniona. Szybkim ruchem głowy odrzuciła rude włosy z ładnej twarzy. Zawsze to robiła, gdy była spięta i zdenerwowana.

On nie odbierze, kochanie, skarbie mój, naprawdę nie odbierze.

# 3

## Środa wieczór, 23 października

Mój Boże, ci mężczyźni! Co się stało? Czy to jej wina? A może ich?

Czasami w życiu robimy naprawdę głupie rzeczy, pomyślała Red. Wtedy nam się takie nie wydają; rozumiemy to dopiero w momencie, gdy wszystko się sypie. Potrzebowała dwóch lat – dwóch lat ignorowania dobrych rad rodziny, przyjaciół, a w końcu także policji – by zrozumieć, jak niebezpieczny jest Bryce Laurent, którego poznała dzięki ogłoszeniu w internecie i w którym się zakochała.

Gdyby mogła cofnąć czas o dwa lata, zachowując wiedzę, którą obecnie posiadała...

Proszę, Boże.

Nigdy nie zarejestrowałaby się na stronie serwisu randkowego i na pewno nie zamieściłaby tej idiotycznej wiadomości.

Samotna dziewczyna, 29 lat, rudowłosa i gorąca, której życie miłosne zawało się i splotęło, szuka nowej iskry mogącej je rozniecić. Dobra zabawa, przyjaźń i – kto wie? – może coś więcej.

Większość odpowiedzi nadawała się do kosza. Ale przecież koleżanki ostrzegały ją, że wielu mężczyzn odpowiadających na takie ogłoszenia to kłamcy – żonaci faceci szukający szybkiego numerka i niczego więcej.

Odpowiedziała koleżankom, że szybkie numerki jej nie interesują, ale nie pogardziłaby długim numerkiem! Musiała obchodzić się smakiem przez większość czasu, jaki zmarnowała na tego zajętego sobą dupka Dominica, który zazwyczaj już pół minuty po półminutowym bzykaniu zabierał się za sprawdzanie maili.

Poza tym Red uważała, że jest wystarczająco bystra, by odróżnić krętaczy od uczciwych.

Błąd.

Poważny błąd.

Teraz, gdy już знаła prawdę, uświadamiała sobie, jak poważny.

Nie zdawała sobie sprawy, że ktoś ją obserwuje, gdy nasłuchując sygnałów w telefonie, wypija kolejny łyk sauvignon blanc. Trzy. Cztery. Pięć. Sześć. W końcu poczta głosowa. Była dwudziesta trzydzieści. Spóźniał się na randkę już półtorej godziny. Gdzie on jest, do diabła?

Wściekła i urażona, rozłączyła się, tym razem nie nagrawszy wiadomości.

# 4

## Środa wieczór, 23 października

Van to jest gość! O tak. Żebyście wiedzieli! *Queen of the Slipstream* Vana Morrisona donośnie rozbrzmiewało z dużego czarnego głośnika Jawbone, zalewając malutkie mieszkanie pięknymi słowami, które kiedyś mógłby powiedzieć Red.

Słyszał, że marudny staruch mieszkający piętro wyżej wali łaską w podłogę, jak zwykle, gdy on tak późno słuchał muzyki. Ale miał to gdzieś.

Queen of the Slipstream to ona. Jego królowa.

Dama kier.

Czerwień. Red.

Włosy w kolorze damy kier.

Odrzuciła go.

Upokorzyła.

Czy bolało? O tak, bolało. W każdej minucie każdego dnia i nocy. W każdej sekundzie.

Miał szczęście, że znalazł mieszkanie z takim widokiem. Czasami w życiu wszystko się układa. On i Red też byli sobie przeznaczeni. Odsunął lornetkę od oczu i potrząsnął głową, czując w sobie kłębiącą się furię. Owszem, coś stanęło na drodze ich związku, ale teraz to już historia – daleka przeszłość.

Patrzył na jej słodkie usta, gdy wypila kolejny łyk wina. Usta, które całował z taką czułością i namiętnością. Usta, które starał się oddać na przedstawiających ją szkicach; jeden z nich – była na



nim prowokacyjnie uśmiechnięta – oprawił i powiesił na ścianie. Pod rysunkiem widniał podpis: *Co najmniej pięć razy dziennie!*\*

Usta, które całowały każdą część jego ciała. Nie mógł znieść myśli, że mogły całować innego. Należały do niego. Posiadł je. Myśl o tym, że inny mężczyzna dotyka jej miękkiej skóry, przytula jej nagie ciało, wchodzi w nią, mroziła mu serce. Myśl o tym, że patrzyła innemu mężczyźnie w oczy, gdy szczytowała, przepęniała go bezsilną złością.

Ale już nie był bezsilny. Miał plan.

Skoro ja nie mogę, to nikt nie będzie cię miał.

Zasunął zasłony i zapalił światło. Potem jeszcze przez chwilę obserwował ją na jednym z monitorów na ścianie. Znów do kogoś dzwoniła. Założenie podsłuchu w jej telefonie było banalnie proste. Skorzystał z programu SpyBubble, który kupił przez internet i potajemnie zainstalował w jej komórce. Dzięki niemu mógł słuchać wszystkich jej rozmów, gdziekolwiek przebywała, a także automatycznie otrzymywał każdego przychodzącego i wychodzącego SMS-a, znał numery osób, do których dzwoniła, i tych dzwoniących do niej, a także adresy stron internetowych, jakie odwiedzała; oglądał jej zdjęcia i – co ważne – dzięki nawigacji zawsze dokładnie wiedział, gdzie się znajduje.

Popatrzył na swoje zdjęcia wiszące na ścianach. Oto on w różowej kurtce i słomkowym kanotierze podczas regat w Henley, bardzo podobny do George'a Clooneya, z Red u boku, ubraną w zwiewną sukienkę i ogromny kapelusz. Na kolejnym zdjęciu miał na głowie skórzaną pilotkę i siedział w kokpicie tiger motha. Dalej wisiała pozowana fotografia w centrum kontroli lotów na lotnisku Gatwick. Na następnym zdjęciu prezentował się bardzo przystojnie w todzie i birecie podczas uroczystości wręczania dyplomów na paryskiej Sorbonie. Na kolejnym, ubrany w podobną czapkę i togę, odbierał doktorat w szkole lotniczej w Sydney. Na

---

\* Nawiązanie do kampanii reklamowej „5 A Day” namawiającej do jedzenia co najmniej pięciu porcji warzyw i owoców dziennie.

swojej ulubionej fotografii pozował w mundurze strażaka. Na zdjęciu obok ściskał dłoń księcia Karola. Na następnym podawał rękę sir Paulowi McCartneyowi. Imponujące? Wystarczająco imponujące dla królowej?

A jednak go odrzuciła.

Zatruły ją kłamstwa jej rodziny. Kłamstwa jej przyjaciół. Jak mogła im uwierzyć? Zniszczyła wszystko przez własną głupotę.

Pogłośnił muzykę, zagłuszając myśli szalejące w głowie, ignorując walenie w podłogę Pana Marudy.

Potem znów wziął do ręki lornetkę, zgasił światło, podszedł do okna i lekko rozchylił zasłony. Znacznie przyjemniej było obserwować ją na żywo, a nie na ekranach transmitujących obraz i dźwięk ze wszystkich pomieszczeń. W ten sposób dokładniej wyczuwał jej ból. Popatrzył na okno na drugim piętrze jej mieszkania po drugiej stronie ulicy. Miała zapalone światło w salonie i wyraźnie ją widział. Trzymała telefon przy uchu i sprawiała wrażenie bardzo zmartwionej.

Słusznie.

# 5

## Środa wieczór, 23 października

– Proszę, nie rób mi tego – powiedziała Red, gdy komórka po sześciu sygnałach ponownie połączyła się z pocztą głosową.

„Mówi Karl. Nie mogę teraz odebrać, więc zostaw wiadomość, a natychmiast oddzwonię”.

Nagrała trzy wiadomości, ale wciąż „natychmiast” nie odzwonił. Pierwszy raz próbowała o dziewiętnastej trzydzieści – pół godziny po tym, jak miał po nią przyjechać. Zamierzali zjeść kolację w China Garden. Drugą wiadomość zostawiła o dwudziestej, a trzecią – starając się nie dać po sobie poznać, że jest rozgniewana, co było trudne – tuż przed dwudziestą pierwszą. Teraz była dwudziesta druga trzydzieści. Sprawdziała nawet wiadomości na Twitterze i Facebooku, chociaż Karl nigdy wcześniej nie kontaktował się z nią w ten sposób.

Wspaniale, pomyślała. Wystawił mnie. Naprawdę nieźle.

Rozstanie z Bryce'em było koszmarem, który wciąż ją nawiedzał. Przez pierwsze tygodnie po tym, jak z pomocą policji go wyrzuciła, po powrocie do swojego dawnego mieszkania często zastawała jego astona martina zaparkowanego przed domem. Bryce'a nie było w polu widzenia, ale wystarczył widok samochodu, by przyprawić ją o dreszcze. Przestał to robić dopiero wtedy, gdy pewnego dnia wyjątkowo się wkurzyła i spuściła powietrze ze wszystkich czterech kół. Ale później, podczas samotnych biegów treningowych przed maratonem charytatywnym

w Brighton – urządzonym na rzecz organizacji Samarytanie, czasami widziała, że obserwuje ją z daleka, pieszo albo z okna jadącego samochodu. Na pewien czas ją to zniechęciło, zwłaszcza do ulubionych wieczornych przebieжек po wzgórzach w zapadającej ciemności.

Za radą ludzi z ośrodka dla ofiar przemocy przeprowadziła się z należącego do niej mieszkania do tego tymczasowego lokum, wynajętego pod przybranym nazwiskiem. Mieszkanie na drugim piętrze, na które zdecydowała się ze względu na korzystne położenie, miało okna niewidoczne z głównej ulicy i wzmocnione drzwi. Mieściło się w stojącej niedaleko nadbrzeża w Hove ponurej, zaniedbanej wiktoriańskiej kamienicy, która kiedyś była prywatną rezydencją. Główne okna wychodziły na schody przeciwpożarowe brzydkiego bloku mieszkalnego z lat pięćdziesiątych, podwórze oraz alejkę prowadzącą do parkingu i zamykanych garaży na tyłach budynku.

Chociaż miała się tutaj czuć bezpieczna, mieszkanie ją przynębiało. Wąski, słabo oświetlony przedpokój prowadził do niewielkiego otwartego salonu połączonego z jadalnią i staroświecką kuchnią, przypominającą kambuz oddzielony barem. W przedpokoju znajdowały się drzwi do małej sypialni, którą przerobiła na gabinet, i do większego pokoju z widokiem na garaże i kubły na śmieci.

Pomalowała całe mieszkanie na biało, co nieco je rozjaśniło; powiesiła na ścianach kilka obrazków i rodzinnych zdjęć, ale nie czuła się jak w domu i wiedziała, że nigdy się tutaj tak nie poczuje. Miała nadzieję, że wkrótce się stąd wyniesie i dzięki sprzedaży dawnego lokum i drobnej pomocy finansowej rodziców wprowadzi do swojego wymarzonego mieszkania. Przewiewnego i przestronnego, na ostatnim piętrze Royal Regent, domu w stylu regencji przy Marine Parade w Kemp Town. Z olbrzymim nasłonecznionym balkonem, który wychodził na kanał La Manche i z którego rozpościerały się cudowne widoki na przystań jachtową na wschodzie i molo w Brighton na zachodzie.

Policja doradziła jej, aby nie jeździła swoim ukochanym garbusem kabrioletem z 1973 roku, bo za bardzo rzucał się w oczy. Stał więc opuszczony w wynajętym garażu, a ona wyprowadzała go tylko od czasu do czasu, by podładować akumulator i zrobić przegląd.

Wlała do kieliszka resztkę sauvignon blanc, które otworzyła wcześniej, gdy stało się oczywiste, że nigdzie nie pójdzie z Karlem. Mężczyźni, pomyślała ze złością. Cholerni mężczyźni.

Tylko że to było zupełnie nie w jego stylu.

W porównaniu z koszmarem ostatnich lat Karl Murphy wydawał się haustem świeżego powietrza. Poznała go przez najlepszą przyjaciółkę, dentystkę Raquel Evans. Karl pracował jako lekarz w tej samej przychodni i był wdowcem. Jego żona dwa lata wcześniej zmarła na raka, pozostawiając mu dwóch małych synów. Raquel uważała, że jest już gotowy zostawić za sobą przeszłość i rozpocząć nowy związek; czuła, że między nim a Red może zaiskrzyć, i miała rację.

Spotykali się dopiero od niedawna, ale kilka razy zjedli razem kolację, a zeszłej soboty, gdy chłopcy nocowali u rodziców jego zmarłej żony, po raz pierwszy ze sobą spali i spędzili razem większość niedzieli. Karl powiedział jej, z szerokim uśmiechem, że chyba ma do niej słabość, skoro zrezygnował ze zwyczajowej niedzielnej gry w golfa.

Red, z równie szerokim uśmiechem, odparła, że ich związek trwa zbyt krótko, by pozwoliła się zepchnąć na drugi plan przez golfa. Spędzili niedzielny poranek w łóżku, potem poszli na brunch do restauracji z owocami morza pod Kings Road Arches, zjedli ostrygi i wędzonego łososia, a na koniec wybrali się na cudowny długi spacer esplanadą. Późnym popołudniem Karl pojechał odebrać chłopców i umówili się na kolejną randkę na środowy wieczór. Planował wziąć dzień wolny w pracy, żeby zagrać w turnieju golfowym, a potem odebrać ją o dziewiętnastej.

Więc gdzie się podziewał? Czyżby miał wypadek? Trafił do szpitala? Nie powiedział jej, na którym polu golfowym gra, więc

nie miała pojęcia, dokąd zadzwonić. Nagle uświadomiła sobie, jak niewiele o nim wie... mimo że go sprawdziła. Prawdopodobnie nie opowiedział też o niej wiele swoim bliskim.

Mogła zadzwonić na policję i spytać, czy nie doszło do jakiegoś wypadku, ale postanowiła tego nie robić. Przez ostatnie lata zbyt często zawracała im głowę, stale zgłaszając nowe ataki Bryce'a. A szpitale? „Przepraszam, chciałam się dowiedzieć, czy przypadkiem nie trafił do państwa doktor Karl Murphy”.

Kiedy pomyślała o swoich dotychczasowych doświadczeniach z mężczyznami, doszła do wniosku, że chyba jest zbyt wyrozumiała. Karl prawdopodobnie się spił, leży na barze w jakimś lokalu i zupełnie o niej zapomniał.

Cholerni mężczyźni.

Opróżniła kieliszek.

To już piąty, naliczył obserwujący ją mężczyzna.

# 6

## Środa wieczór, 23 października

Nadal siedział w ciemności z lornetką przy oczach. Red wciąż nosiła zegarek, który wyglądał, jakby znalazła go w jajku z niespodzianką. Ależ sknera z tego Karla, jej cudownego nowego kochanka, skoro nie kupił jej droższego. On sam podarował jej zegarek Cartier Tank, ale zwróciła go, podobnie jak resztę biżuterii, gdy wyrzuciła jego rzeczy na ulicę i zmieniła zamki.

Nie licząc cienkiej srebrnej bransoletki na prawym nadgarstku.

Zaciągnął zasłony i zapalił światło, a następnie usiadł przy niewielkim okrągłym stoliku i wziął do ręki talię kart. Rozłożył je w wachlarz jedną ręką, złożył i ponownie rozłożył. Trening. Codziennie przez kilka godzin musiał ćwiczyć swój repertuar. Jutro czekał go ważny występ; miał prezentować magiczne sztuczki przy stolikach klientów podczas kolacji dla agentów nieruchomości z Brighton.

Może przyjdzie Red. Mógłby jej sprawić miłą niespodziankę.

„Proszę bardzo, dama zniknęła!”

Kiedyś byłaś moją damą.

Wciążnosisz bransoletkę, którą ci dałem!

Wiedział, co to oznacza. To bardzo freudowskie. Chciała zachować coś, co dostała od niego. Ponieważ, chociaż nie chciała się do tego przyznać, wciąż go kochała.

Założę się, że będziesz chciała, żebym wrócił. Niedługo zaczniesz mnie błagać. Naprawdę nie możesz mi się oprzeć, po pro-

stu nie zdajesz sobie z tego sprawy. Żadna kobieta nie może mi się oprzeć! Tylko nie zwlekaj za długo, bo nie będę czekał w nieskończoność.

Żartuję!

Nie przyjąłbym cię z powrotem, nawet gdybyś prosiła na klęczkach. Ciebie ani twojej ohydnej rodziny i okropnych przyjaciół. Nienawidzę całego tego gównianego światka, w którym żyjesz. Mógłbym cię z niego wyzwolić.

Robisz duży błąd, skoro tego nie zauważasz.

Popatrzył na zegarek. Dwudziesta trzecia dziesięć. Czas się zabawić. Położył komórkę na stole w salonie i zabrał kluczyki do pożyczonego vauxhalla astry, do którego przykręcił lewe tablice rejestracyjne z numerem skopiowanym z tablic identycznego samochodu stojącego na parkingu długoterminowym przy lotnisku Gatwick i zostawił go na swoim miejscu w garażu dwie ulice dalej. Włożył czarną kurtkę z kapturem, sprawdził w kieszeniach, czy zabrał wszystko, czego potrzebuje, włożył czarne skórzane rękawiczki, naciągnął czapkę baseballową mocniej na twarz i wymknął się w ciemność.



# 7

## Środa wieczór, 23 października

Karl przetoczył się w ciemnym, wyłożonym wykładziną bagażniku swojego samochodu. Potwornie bolała go głowa i trząsał się ze strachu i wściekłości. Nie chciał wpaść w panikę, więc starał się spokojnie oddychać przez nos i myśleć rozsądnie, żeby jakoś wyplątać się z tej sytuacji.

Próbował się domyślić, gdzie jest – i jak długo – a także dlaczego, u diabła, spotkało go coś takiego. Czy z kimś go pomyłono? A może napastnik zabrał mu klucze i właśnie okrada jego dom? Albo jeszcze gorzej: próbuje dopaść jego ukochane dzieci, Dane'a i Bena?

Jezu, co musi sobie myśleć Red? Czekala na niego w domu. Gdyby tylko mógł do niej zadzwonić... Ale telefon miał w kieszeni spodni i nie mógł go dosięgnąć.

Od czasu do czasu słyszał przejeżdżające samochody i podejrzewał, że w pobliżu jest jakaś wiejska droga. Samochody pojawiały się coraz rzadziej, co wskazywało, że robi się późno. Ktokolwiek go tak urządził, znał się na węzłach. Karl nie mógł ruszać nogami i rękami ani wypluć knebla; czuł bolesne skurcze. I nie miał pojęcia, jak szczelny jest bagażnik – co go przerażało. Zdawał sobie sprawę, że im szybciej oddycha, tym więcej zużywa tlenu. Musiał zachować spokój. Wcześniej czy później ktoś go uratuje. Powinien zadbać o to, by nie zabrakło mu powietrza.

Zaschło mu w ustach i już dawno zrezygnował z wołania o pomoc, bo kiedy to robił, tylko krztusił się kneblem mocno przytwierdzonym za pomocą taśmy klejącej, którą chyba owinięto wokół jego głowy.

Chryste, przecież musi tutaj być jakiś ostry przedmiot. Coś, co pozwoliłoby mu przeciąć więzy. Przysunął się bliżej swojej torby, usłyszał grzechot sprzętu do golfa, po czym przyłożył pętający go sznur do jednego z żelaznych kijów. Ale kij się obracał, nie stawiając oporu.

Niech ktoś mi pomoże, proszę!

Usłyszał warkot silnika samochodu i szum opon na mokrej drodze i poczuł przyływ nadziei. Odgłosy wkrótce jednak ucichły.

Niech ktoś się zatrzyma!

Znów usłyszał ryk silnika, szum opon, a następnie pisk hamulców. Tak! Mój Boże, tak, dziękuję!

Po chwili poczuł podmuch zimnego powietrza, gdy pokrywa bagażnika się uniosła. Oślepiło go światło. Jego radość nie trwała długo.

– Miło znów cię widzieć, przyjacielu – usłyszał grzeczny męski głos dobiegający z za źródła światła. – Przepraszam, że kazałem ci czekać, ale musiałem załatwić coś, z czego nie mogłem się wyplątać. Pewnie wiesz, jak to jest?

O ziemię uderzył jakiś metalowy przedmiot, a potem coś zachlupotało. Poczuł woń benzyny.

Ogarnęło go przerażenie.

– Jesteś lekarzem, prawda? – zapytał go ktoś uprzejmie.

Karl stęknął.

– Masz przy sobie jakieś środki przeciwbólowe?

Pokręcił głową.

– Na pewno? Nigdzie w samochodzie? Jesteś lekarzem, na pewno coś masz.

Milczał. Drżąc, próbował się domyślić, o co w tym wszystkim chodzi.

– Widzisz, doktorku, pytam z myślą o tobie. Przydałyby ci się, biorąc pod uwagę, co cię czeka. To naprawdę nie twoja wina, a ja

nie jestem sadystą. Nie chcę, żebyś cierpiał, dlatego pytam o środki przeciwbólowe.

Mężczyzna niezdarnie wyciągnął Karla z bagażnika, przez chwilę go niósł, a potem upuścił na mokrą trawę. Po chwili rozległ się trzask zamykanego bagażnika.

– Chciałbym, żebyś coś napisał, Karl, jeśli nie masz nic przeciwko.

Nie odpowiedział, tylko mrużył oczy pod wpływem jaskrawego światła latarki.

– List pożegnalny. Uwolnię twoją prawą rękę, żebyś mógł pisać. Jesteś praworęczny?

Mrugając, dalej wpatrywał się w snop światła. Czuł, że za chwilę zwymiotuje. Nagle poczuł rozdzierający ból, gdy napastnik zerwał mu z twarzy taśmę. Po chwili mężczyzna wyciągnął mu knebel z ust.

– Tak lepiej?

– Kim jesteś, do cholery? Chyba schwytałeś niewłaściwą osobę. Nazywam się Karl Murphy – odezwał się błagalnym tonem. – Jestem lekarzem.

– Wiem, kim jesteś. Jeśli obiecasz, że nie zrobisz niczego głupiego, uwolnię twoją jedną rękę. Lewą czy prawą?

– Prawą.

– Wreszcie robimy jakieś postępy!

Karl Murphy zobaczył błysk ostrza i po chwili jego prawa ręka była wolna. Nieznajomy włożył mu długopis w dłoń i podsunął kartkę w linie. Karl rozpoznał, że kartka pochodzi z notatnika, który trzymał w torbie z przyborami medycznymi w samochodzie. Kątem oka dostrzegł porywacza, ubranego na czarno, w czapce baseballowej naciągniętej na czoło.

Porywacz przeciągnął go po trawie i oparł plecami o coś twardego i nieruchomego. Pień drzewa. Potem umieścił przed nim podkładkę do pisania.

– Napisz list pożegnalny, Karl.

– List pożegnalny? Dla kogo?

– Dla kogo? No nie, doktorze Murphy. Nie uczyli cię gramatyki w szkole? Do kogo!

– Nie napiszę żadnego cholernego listu – zbuntował się Karl. Nieznajomy się oddalił, a on zaczął rozpaczliwie szarpać więzy wolną ręką. Wkrótce porywacz wrócił z dużym ciemnym przedmiotem w dłoni. Karl usłyszał chłupot, a po chwili poczuł, że jakiś płyn oblewa całe jego ciało, i znów rozniósł się charakterystyczny smród benzyny. Karl zaczął się wić, próbując się odtoczyć, lecz jego głowę i twarz zalała kolejna porcja benzyny i zapiekły go oczy. Nagle w świetle latarki zobaczył małą plastikową zapalniczkę w dłoni w rękawiczce.

– Będziesz grzecznym chłopcem czy chcesz, żebym tego użył? Karla ogarnęła groza.

– Błagam, nie wiem, kim jesteś ani czego chcesz. Możemy o tym porozmawiać? Powiedz mi, czego chcesz!

– Chcę, żebyś napisał list pożegnalny. Jeśli to zrobisz, odejdę. Jeśli nie, pstryknę zapalniczką i zobaczymy, co się stanie.

– Proszę! Proszę, nie! Posłuchaj... to jakaś straszna pomyłka. Nie jestem tym, za kogo mnie uważasz. Nazywam się Karl Murphy, jestem lekarzem rodzinnym w Brighton. Moja żona umarła na raka, mam dwójkę małych dzieci, które mnie potrzebują. Proszę, nie rób tego.

– Doskonale wiem, kim jesteś. Niczego ci nie zrobię, jeśli napiszesz list. Masz dokładnie dziesięć sekund. Napisz, a wszystko się skończy i nigdy więcej mnie nie zobaczysz. No to zaczynam odliczać. Dziesięć... dziewięć... osiem... siedem...

– Dobrze! – wrzasnął Karl Murphy. – Zrobię to!  
Porywacz się uśmiechnął.

– Wiedziałem, że się zgodzisz. Nie jesteś głupcem.

Wyglądził kartkę na podkładce i stanął nad Karlem. Zbliżał się jakiś samochód. Karl miał rozpaczliwą nadzieję, że się zatrzyma. Reflektory na chwilę oświetliły gęstwinę drzew i krzewów oraz przystojną twarz nieznajomego. Potem odgłos silnika się oddalił. Karl zaczął pisać, cały czas intensywnie myśląc.

Kiedy skończył, porywacz odebrał mu podkładkę. Światło latarki zatańczyło między drzewami, a pozostawiony w ciemności Karl raz jeszcze spróbował się uwolnić. Zapłonęła w nim iskierka nadziei, gdy udało mu się uchwycić brzeg taśmy i kawałek odebrać. Drapał paznokciami, rozpaczliwie próbując ponownie znaleźć łączenie. Po chwili latarka znów rozbłysła pośród drzew.

Poczuł, że porywacz go podnosi, zarzuca sobie na ramię jak strażak i niesie go chwiejnym krokiem w coraz gęstszej ciemności.

– Postaw mnie! – zawołał Karl. – Zrobiłem to, o co prosiłeś.

Napastnik milczał.

– Proszę, muszę do kogoś zadzwonić. Ona będzie się o mnie martwiła.

Cisza.

Wydawało mu się, że wędrówka trwa wiecznie; od czasu do czasu snop światła latarki przeszywał leśne poszycie przed nimi.

– Proszę... kimkolwiek jesteś... napisałem ten list. Zrobiłem to, o co prosiłeś.

Nadal cisza.

W końcu porywacz przerwał milczenie.

– Cholera, ciężki jesteś.

– Proszę, postaw mnie.

– Na wszystko przyjdzie czas.

Wkrótce Karl wylądował na mokrym i kłującym poszyciu.

– Jesteśmy na miejscu!

Wezbrała w nim nadzieja, gdy poczuł, że porywacz poluzowuje i zdejmuje mu więzy.

– Dziękuję – wysapał.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Kiedy jego nogi wreszcie były wolne, chociaż zdrętwiałe, odetchnął z ulgą. Ale radość nie trwała długo. Napastnik zdjął kombinezon, a następnie przewrócił swą ofiarę na bok i zepchnął ze stromego zbocza. Karl przez chwilę toczył się bezwładnie, po czym wpadł plecami w chlupoczące błoto.

Wtedy twarz i ciało zalały mu strumienie jakiegoś płynu.

Zrozumiał, że to znów benzyna, i sparaliżował go strach. Usiłował usiąść, dźwignąć się na nogi, ale benzyna nie przestawała się na niego lać. Po chwili w ciemności na górze zбочa rozbłysnął ma-  
lutki płomień zapalniczki.

– Błagam! – wrzasnął wystraszony Karl. – Błagam, nie!  
Obiecałeś, że jeśli napiszę list... Obiecałeś! Proszę, nie! Obiecałeś!

– Kłamałem.

Nagle zobaczył płonąca kartkę. Przez chwilę unosiła się wyso-  
ko nad nim jak chiński lampion; kołysała się na boki, coraz silniej  
trawiona płomieniami.

Bryce Laurent się cofnął. Wkrótce potem ku nocnemu niebu  
wzniosła się kula ognia. Towarzyszyło jej straszliwe wycie z bólu  
i wołanie o pomoc, które już po kilku sekundach zmieniło się  
w chrapliwe rżenie.

Zapadła cisza.

Wszystko skończyło się tak szybko.

Bryce czuł się nieco rozczarowany. Niemal oszukany. Wolałby,  
żeby Karl Murphy cierpiał znacznie dłużej.

Ale cóż, nie zawsze wszystko się udaje.

Pochylił się i zabrał swój cuchnący benzyną kombinezon, po  
czym wrócił do samochodu.